PRZEGLĄD PRASY

Mity polskie

O integracji Polski z Unią Europejską dyskutuje się dziś sporo, ale głównie z punktu widzenia gospodarki i prawa. Mniej mówi się o społeczeństwie. Tymczasem *„trzeba wziąć pod uwagę także mity funkcjonujące w wyobraźni zbiorowej"*, które *„utrudniają sporządzenie społecznego bilansu zysków i kosztów wejścia Polski do Unii"* – pisze w „POLITYCE" (nr 42) prof. Mirosława Marody, socjolog z Uniwersytetu Warszawskiego.

Za *„najbardziej rozpowszechniony"* i cechujący się *„wyjątkową żywotnością"* prof. Marody uznaje *„mit relatywnie wysokiego wykształcenia społeczeństwa polskiego"*, wedle którego w Polsce nie ma wprawdzie pieniędzy na inwestycje, nie ma nowych technologii, ale jest *„kapitał ludzki"*, gdyż Polacy są rzekomo wykształceni i wykwalifikowani. Tymczasem dane empiryczne *„prowadzą do odmiennych wniosków"*. Okazuje się, że tzw. wskaźnik scholaryzacji (określający wykształcenie społeczeństwa) *„plasuje Polskę blisko końca listy krajów należących do Unii Europejskiej"*. Dalej: *„szczególnie deprymująco wypada porównanie odsetka osób kształcących się w szkołach wyższych"*. W krajach Zachodu wynosi on 30 proc. – w Polsce 17,2 proc. Polacy nie tylko uczą się krócej, ale ich wykształcenie jest gorsze. Słabo wypadają także w międzynarodowych badaniach nad zdolnością rozumienia i wykorzystywania informacji w życiu codziennym. Niewiele zmieniło się w ciągu ostatnich lat mimo wzrostu liczby studentów, gdyż *„nie towarzyszy* [temu] *poprawa bazy materialnej i przyrost kadry"*, a nakłady na oświatę i naukę pozostają niskie.

Kolejnym mitem mogącym utrudnić integrację z UE, jest *„mit rodzącej się klasy średniej"* (a to klasa średnia *„jest fundamentem stabilności i rozwoju w systemie demokratyczno-liberalnym"*). W Polsce terminem tym określa się dziś grupę prywatnych przedsiębiorców. Tymczasem, pisze prof. Marody, rola klasy średniej nie zależy od liczby przedsiębiorców. Na Zachodzie klasa średnia *„zyskała znaczenie dzięki zdominowaniu jej (...) przez tzw. nową klasę średnią"*, którą tworzy szeroka rzesza *„pracowników biurowych, specjalistów, wolnych zawodów oraz kadry menedżerskiej"*. W porównaniu z tzw. starą klasą średnią, czyli prywatnymi przedsiębiorcami, to tych właśnie ludzi cechuje *„wyższe wykształcenie, bardziej racjonalny stosunek do świata, wyższy poziom liberalizmu, otwartości, innowacyjności i aktywności"*. Gdy jednak na Zachodzie *„rodziny »białych kołnierzyków« i wysoko wykwalifikowanych »professionals« stanowią ponad połowę populacji"*, w Polsce grupa ta liczy tylko 36 proc., a perspektywy jej rozwoju są pesymistyczne, bo wysokie koszty kształcenia (także tego publicznego, teoretycznie bezpłatnego) eliminują dziś młodzież gorzej sytuowaną.

Dalej, mitem jest przekonanie, że Polacy potrafią odnaleźć się w każdej sytuacji, będąc narodem przedsiębiorczym. Bo jeśli nie zmieni się sytuacja oświaty i nauki, zaradność ta nie stworzy zasad społecznych i będzie mieć jedynie *„charakter dostosowawczy, co nie zwiększa szans całego społeczeństwa na integrację ze społeczeństwem europejskim"*, a nawet *„może zagrozić trwałości już przeprowadzonych reform systemowych"*.

W świetle badań socjologicznych mitem jest też przekonanie o indywidualizmie Polaków (że lubią być „kowalami własnego losu"). Nawet polscy menedżerowie mają mniej zdolności przywódczych od swych zachodnich kolegów, mniejsze jest też ich zorientowanie na jakość i wynik pracy. Ten polski indywidualizm jest bardziej zbliżony do *„indywidualizmu szlacheckiego zaścianka"* pisze Marody.

Mitem jest też pogląd, że źródłem polskich zalet i wad jest kultura szlachecka, gdyż badania pokazują, że społeczeństwo polskie charakteryzuje *„podmiejska forma kulturowa"*, czyli *„połączenie wspartej na bezpośrednich więzach solidarności grupowej z wielkomiejskimi pretensjami"*. Skutkiem jest podporządkowanie dążeń jednostek celom kolektywnym, atmosfera życia publicznego z podziałem na „swoich" i „obcych" oraz przedkładanie pytania „jak i z kim?" nad „po co i w jaki sposób?".

Prof. Marody opisuje także *„mit europejskości"*, który uwidacznia się w podziale polskich polityków na eurosceptyków i euroentuzjastów. Podział ten *„pomija całkowicie pytanie zasadnicze dla problematyki integracji – co będziemy robić w Europie i jakie miejsce zajmiemy w społecznym podziale pracy?"* Tymczasem rzetelna odpowiedź na to pytanie wymagałaby powiedzenia wprost, że *„jesteśmy społeczeństwem o relatywnie niskim wykształceniu i kwalifikacjach, z niekorzystnymi jak dotąd warunkami systemowymi do rozwoju klasy średniej mającym problemy z instytucjonalizacją i podtrzymywaniem zasad życia społecznego, nie ceniącym wartości indywidualistycznych i zatrzymanym w pół drogi między wsią a miastem"*. A więc – podsumowuje prof. Marody – to, co uważaliśmy za atuty przed wejściem do UE, okazuje się naszym obciążeniem.

WP

PRZEGLĄD ZAGRANICZNY

Sołżenicyn: kryzys i szanse kultury

W maju 1997 roku Aleksander Sołżenicyn został wybrany na rzeczywistego członka Rosyjskiej Akademii Nauk. 24 września tego roku, po raz pierwszy po prawie dwóch latach „życia w ukryciu" wystąpił na forum Akademii z mową na temat roli kultury i cywilizacji we współczesnym świecie. Tekst wystąpienia „Wyczerpanie się kultury?" został opublikowany w tygodniku „Moskowskije Nowosti" z 28 IX–5 X 1997 r.

Pod pojęciem „cywilizacji" Sołżenicyn pojmuje „przekształcanie środowiska i zewnętrznych warunków życia", podczas gdy kultura oznacza dla niego „przekształcanie wewnętrznego życia człowieka i jego duszy". Innymi słowy, kultura to „zbiór intelektualnych, światopoglądowych, etycznych i estetycznych osiągnięć", których funkcja polega na wzbogacaniu i udoskonalaniu życia niematerialnego. Wielki pisarz sądzi, iż już od paru stuleci ta funkcja kultury jest systematycznie odsuwana na plan dalszy, co wiąże się z osłabieniem „duchowej konsolidacji", a nawet z „zatratą duchowych wartości". Ten proces ma tylko jeden kierunek i to, co zostało zatracone w ciągu ostatnich kilku wieków, nie będzie już nigdy odzyskane. Sołżenicyn wymienia kilka przyczyn, które – w jego opinii – leżą u źródeł współczesnego kryzysu kultury. Po pierwsze, zgubny dla jej duchowej istoty jest utylitaryzm, niezależnie od tego, czy ma on charakter „socjalistyczno-komunistycznego przymusu", czy też jest rezultatem „rynkowej zasady popytu i podaży". Autor „Archipelagu Gułag" powołuje się w swych intuicjach na refleksje Jana Pawła II: „Niedawno Papież Jan Paweł II powiedział, że w ślad za znanymi nam już dwoma totalitaryzmami – teraz nadchodzi Trzeci Totalitaryzm: absolutna władza pieniądza, przed którą z zachwytem chyli czoło coraz więcej ludzi". Drugą przyczynę osłabienia stanowi, zdaniem Sołżenicyna, nadmierny przyrost materialnego dobrobytu, który powoduje „duchowe sczerstwienie". Trzecią przyczynę stanowi tzw. „umasowienie", które niszczy nie tylko kulturę wysoką, lecz również obniża jej średni poziom. Sołżenicyn uczynił zastrzeżenie, iż nie ma nic przeciwko „demokratyzacji kultury", to znaczy rozpowszechnianiu jej wśród szerokich mas. Pozytywnym przykładem takiego procesu jest dla niego ludowa kultura wielu narodów. Pisarz występuje jednak przeciwko takiej relatywistycznej demokratyzacji, jaka dokonała się w kulturowej przestrzeni wieku XX („moralna wieloznaczność"). Pod wpływem wulgarnej użytkowości wiele rodzajów sztuk przekształciło się w zwyczajne rzemiosło: „W Hollywood, i nie tylko tam, działają »brygady oceniające« scenariusze. Oceniają one według wypracowanego systemu punktów, a zarazem decydują, jak zmienić wątek, osoby i inne elementy w celu poprawienia »kasowości«. Wydaje się, że te podłe chwyty nie znają granic; oto firma Disneya poprawiła błąd Victora Hugo i Esmeralda [stracona bohaterka „Katedry Najświętszej Marii Panny w Paryżu"] zamiast tragicznie zginąć, kończy happy endem". Sołżenicyn sądzi jednak, że przynajmniej w dziedzinie literatury ten proces „podłej demokratyzacji" może być odwrócony. Dokona się to wtedy, gdy z zasadą „sztuki dla ludu" zostanie złączona „elitarność". Literatura spełni wtedy rolę „nauczycielki wartości".

Jednak znacznie trudniejsza do zwalczenia będzie ta przyczyna „upadku kultury", która wiąże się z jej sekularyzacją i nierozumnym antropocentryzmem. Sołżenicyn powołuje się tu na starą intuicję Pascala, który stwierdził, iż „ostatnia istota rzeczy dostępna jest tylko religijnemu uczuciu". W tej części swoich rozważań pisarz wyraźnie kontynuuje swoje dawne antyoświeceniowe tezy zawarte w słynnym przemówieniu harvardzkim (1978). Przestrzega zarazem przed uznaniem za normę europejskiego neooświeceniowego modelu kultury, który święci tryumfy w drugiej połowie XX wieku.

Za to wielką szansę Sołżenicyn dostrzega w wielonarodowym kulturowym pluralizmie. Pisarz wiąże zarazem wielkie nadzieje z kulturą rosyjską, chcąc ją jednak widzieć w łączności z Europą, z jej „aktywnością i stabilnością życia obywatelskiego". Tylko w tym europejsko-rosyjskim kontekście należy rozumieć Sołżenicynowską troskę o rozwój rosyjskiej regionalnej kultury: „Narodowe istnienie albo zguba zależą od tych ludzi, którzy w tych ciemnych czasach swoim celowym wysiłkiem albo materialnym poparciem takiego wysiłku będą sprzyjać ratowaniu od zniszczenia, a zarazem wzmocnią i rozwiną naszą myśl, życie wewnętrzne i duchowe. To właśnie jest Kultura."

GP

Partyzanci, paramilitares i Ernesto Samper

Jak umrzeć w Kolumbii

DARIUSZ ROSIAK

■ Jeśli jakiś maniak statystyki pokusiłby się o stworzenie wykazu państw, w których życie ludzkie posiada najmniejszą wartość, Kolumbia musiałaby znaleźć się w pierwszej trójce. Kto wie, może nawet otwierałaby listę wyprzedzając Algierię, Ruandę czy choćby Chiny. Jest to tym bardziej przygnębiające, że w przeciwieństwie do krajów, w których agresja wobec jednostki bywa skutkiem opresji państwa, waśni etnicznych albo ideologicznej dyskryminacji, przemoc kolumbijska ma miejsce w kontekście – jakkolwiek by na to patrzeć – demokratycznym.

Kolumbia jest krajem, w którym odbywają się okresowo wybory, rządzi odpowiedzialny przed Kongresem prezydent, a armia kierowana przez cywilnego ministra obrony wyróżnia się wśród krajów Ameryki Łacińskiej niewielką skłonnością do obalania rządów.

Pod koniec października Kolumbijczyków czeka kolejne demokratyczne ćwiczenie: wybór władz samorządowych. Prowadzona od kwietnia kampania przeciwników wyborów powoduje, że przeprowadzenie ich w zamierzony sposób jest praktycznie wykluczone. Codziennie dochodzi do porwań, morderstw i zbrojnych napadów, w których giną zarówno żołnierze, policja i członkowie nielegalnych grup paramilitarnych, jak i niezaangażowana w konflikt ludność, głównie ze wsi. W ciągu zaledwie roku ponad 200 tysięcy rodzin chłopskich zostało zmuszonych do opuszczenia domów i migracji do miast. Zabierają ze sobą nędzę, niespełnione nadzieje i nowe formy przemocy.

NA STU FRONTACH

To błędne koło toczy się od 35 lat. Kolumbia – jeden z najbogatszych i najbardziej fascynujących krajów Ameryki Łacińskiej – marnotrawi swój potencjał w bratobójczej rzezi. Co roku ginie tu 30 tysięcy osób, a około 6 tysięcy zostaje porwanych w celu wymuszenia okupu. Według niedawnego oficjalnego raportu na temat przestępczości w kraju przeciętny *Kolumbijczyk ma większe szanse umrzeć* w wyniku zabójstwa niż wskutek AIDS, choroby serca i raka razem wziętych.

Jak zrozumieć kolumbijską rzeczywistość? Dlaczego wszelkie próby położenia kresu barbarzyństwu wcześniej czy później okazują się jałowe? Dlaczego inne kraje regionu – Argentyna i Chile są tu najlepszymi przykładami – potrafiły zrzucić historyczny balast przemocy i zdobyć się na normalność, a Kolumbia – jak pisał Gabriel Garcia Marquez – *„gnije żywcem w wojnie, w której nigdy nie będzie zwycięzców"*?

Według wykładowczyni politologii z Uniwersytetu Narodowego w Bogocie, *Luz Piedad Caidedo,* przemoc w Kolumbii jest skutkiem – by tak rzec – niedokończenia jej historii:

„Od XIX wieku w Kolumbii nie zdołano rozwiązać problemu rozdrobnienia władzy między rozmaitymi ośrodkami regionalnymi – uważa profesor Caidedo. – *Ten stan rzeczy był oczywiście wynikiem strategii kolonizacyjnej Hiszpanów, którzy w Kolumbii, podobnie jak w całej Ameryce Południowej, działali na zasadzie »dziel i rządź«. Gdy na początku ubiegłego stulecia Kolumbia uzyskała niepodległość, te regionalne konflikty wyszły na jaw z jeszcze większą ostrością. Jednak w innych krajach regionu zostały one rozwiązane: czy to metodami pokojowymi dzięki pojawieniu się populistycznego przywódcy potrafiącego skupić wokół siebie naród, czy też wskutek wojny domowej, która wyłoniła władzę i określiła sposób funkcjonowania kraju. W Kolumbii nie doszło do realizacji żadnego z tych scenariuszy. Kandydat na ludowego trybuna, kolumbijski odpowiednik Ewy Peron, Jorge Eliecer Gaitan został zamordowany, a wojna domowa trwająca w tym kraju praktycznie od jego powstania, nie tylko nie zbliża się do końca, ale wchodzi z roku na rok w coraz ostrzejszą fazę"*.

Obecnie jej głównymi aktorami są dwie organizacje partyzanckie: Rewolucyjne Siły Zbrojne Kolumbii (FARC) i Armia Wyzwolenia Narodowego (ELN). Liczą one wspólnie ponad 15 tysięcy ludzi i kontrolują około 40% terytorium kraju. Naprzeciw stoi niesprawna i źle wyekwipowana armia ze 130 tysiącami żołnierzy. Większość z nich stanowią pozbawieni motywacji nastolatkowie, którzy najczęściej przebywają w koszarach albo chronią stałe punkty strategiczne, takie jak lotniska, drogi, platformy wiertnicze itp. Jak twierdzi rząd, walka w kraju toczy się na ponad 100 frontach, jednak rzadko dochodzi do bezpośrednich starć między obu stronami. Armia po prostu boi się o własną skórę.

Wojnie partyzantów z armią towarzyszy rozwój trzeciego potężnego ośrodka militarnego. W ostatniej dekadzie w błyskawicznym tempie mnożą się paramilitarne grupy zbrojne, wynajmowane przez właścicieli latyfundiów do ochrony przed partyzantami.

ZBRODNIA I PIENIĄDZE

W grudniu ubiegłego roku rząd w Bogocie wyznaczył nagrodę miliona dolarów za schwytanie dowódcy największego oddziału *paramilitares*, Carlosa Castano Gila. Gest ten miał pokazać, że rząd traktuje samozwańcze oddziały samoobrony z równą surowością, co lewicową partyzantkę. Wielu Kolumbijczyków, jak również międzynarodowych obserwatorów, ma co do tego poważne wątpliwości. Amnesty International, Human Rights Watch, a nawet Departament Stanu twierdzą, że operacje *paramilitares* prowadzone są często za wiedzą, zgodą, a nawet przy współpracy rządowych sił bezpieczeństwa. Część dowódców nie kryje swoich sympatii wobec *paramilitares*, a odsunięty ze stanowiska w lipcu były szef armii, generał Harold Bedoya otwarcie wzywał do udzielenia im legalnych kompetencji do zwalczania partyzantki.

Jest to tym bardziej przerażające, że *paramilitares* ponoszą odpowiedzialność za setki masakr wieśniaków posądzanych o współpracę z partyzantami. Do jednej z najbardziej okrutnych w tym roku doszło w połowie lipca w małej wiosce Mapiripan w środkowej Kolumbii. Podległy Castano szwadron śmierci przez tydzień metodycznie mordował mieszkańców wioski, odcinając niektórym kończyny i topiąc na pół żywych ludzi w rzece Guaviare. 300 rodzin zostało wygnanych z domów, a zdeformowane ciała wyławiano z Guaviare do września.

Do 1989 roku partyzanci, którzy powołują się na ideologię marksistowską, otrzymywali regularnie subwencje z Moskwy za pośrednictwem Kuby. Wraz z upadkiem komunizmu to źródło utrzymania wyschło, a podstawa ideologiczna ich walki z rządem wydaje się Kolumbijczykom coraz bardziej mętna. Większość z nich traktuje partyzantów jak zwykłych bandytów, którzy żyją z zastraszania ludzi i wymuszania okupu.

Głównym sposobem finansowania zarówno armii partyzanckich, jak i oddziałów *paramilitares* jest płatna ochrona plantacji. Obie grupy zaprzeczają, jakoby świadomie współpracowały z kartelami narkotykowymi, jednak faktem jest, że uprawy koki i laboratoria rafinacji kokainy znajdują się niemal wyłącznie na terenach kontrolowanych przez partyzantów, a posiadłości narkotykowych bossów chronione są przez *paramilitares*. Szef tych ostatnich chwalił się niedawno, że źródłem jego sukcesu finansowego jest konkurencyjna cena.

„Grupa miejscowych posiadaczy ziemskich i polityków zwraca się do mnie z prośbą o ochronę – wyjaśniał niedawno Carlos Castano Gil warunki typowej umowy. – *Zazwyczaj przedstawiają mi finansowe wykazy okupów płaconych partyzantom. Ja proponuję im ochronę za 50% tej sumy."*

Innym źródłem dochodu są porwania i wymuszanie okupu od właścicieli ziemskich, zachodnich biznesmenów, szczególnie pracowników 60 międzynarodowych korporacji naftowych wydobywających ropę w Kolumbii, jak również zwykłych turystów uznanych za wartych zachodu. Ocenia się, że ofiarą uprowadzeń padają w Kolumbii trzy osoby dziennie, a partyzanci i prawicowi *paramilitares* zarabiają na tym interesie około 130 milionów dolarów rocznie. Wraz z dochodami z ochrony plantacji oraz ze sprzedaży i dzierżawy ziemi na kontrolowanych terenach dochody nielegalnych grup paramilitarnych w Kolumbii wynoszą około miliona dolarów dziennie.

Wzrost znaczenia kolumbijskich watażków to przede wszystkim konsekwencja słabości armii, która nie potrafi narzucić krajowi monopolu zbrojnej władzy. Niedawno Komisarz ONZ do Spraw Praw Człowieka Almudena Mazarassa określiła Kolumbię jako *„kraj feudalny, w którym każdy, kto ma to ochotę, może założyć swoją prywatną armię"*. Co gorsza, władze w swojej bezradności aplikują lekarstwa okazujące się często gorsze niż choroba. W 1994 roku powołano do życia grupy samoobrony cywilnej o nazwie *Convivir*. Zadaniem tych legalnie uzbrojonych formacji miało być informowanie armii o ruchach partyzantów, jednak w naturalny sposób oddziały *Convivir* stały się jeszcze jednym uczestnikiem kolumbijskiego konfliktu. Nawet rząd przyznaje, że kilka spośród 414 grup *Convivir* brało sporadycznie udział w zbrojnych napadach na zwolenników partyzantów. Organizacje obrony praw człowieka twierdzą, że nie kilka i nie sporadycznie, tylko większość i regularnie. Ich zdaniem efektem działalności *Convivir* będzie jeszcze więcej rzezi i masakr w kraju.

ŻYWE TRUPY

Przed dwoma laty rzadko kto dawał Ernesto Samperowi szansę na dokończenie kadencji prezydenckiej. Wydawało się, że nie wyliże się on z ran zadanych mu oskarżeniem o sfinansowanie kampanii prezydenckiej przez kartel narkotykowy z Cali. Stało się inaczej. W czerwcu ubiegłego roku, po dwuletniej batalii Kongres zdominowany przez zwolenników Sampera uznał, że 6 milionów dolarów podarowane przyszłemu prezydentowi przez braci Orejuela wpłynęło na konto jego kampanii bez wiedzy głównego zainteresowanego. Samper pozostał na stołku, a zamiast prezydenta za kratami wylądowali dwaj jego najbliżsi współpracownicy.

Za to chwilowe zwycięstwo Ernesto Samper i Kolumbia płacą do dziś ogromną cenę. Po pierwsze – jak wykazują sondaże – zdecydowana większość Kolumbijczyków nie wierzy w niewinność Sampera, wierzy natomiast, że zarówno on, jak i cały Kongres znajdują się na usługach karteli. Brak wiarygodności i postępujący z miesiąca na miesiąc paraliż rządu wykorzystywane są z pełną konsekwencją przez partyzantów i oddziały paramilitarne. Wijący się jak w ukropie Samper usiłuje za wszelką cenę zainicjować proces pokojowy, jednak partyzanci i *paramilitares* nie traktują go jako poważnego partnera. Nawet niedawna propozycja wydzielenia w kraju stref zdemilitaryzowanych, wycofania z nich wojska i podjęcia rozmów ze wszystkimi uczestnikami konfliktu nie spotkała się z zainteresowaniem adresatów. Jak powiedział niedawno Juan Tokatlian z Uniwersytetu Narodowego w Bogocie, *„nie ma obecnie warunków dla rozpoczęcia dialogu pokojowego, w związku z czym należy spodziewać się eskalacji przemocy"*.

Od kilku miesięcy przemoc ta koncentruje się wokół wyborów samorządowych przewidzianych na 26 października. W kwietniu FARC i ELN ostrzegły wszystkich potencjalnych kandydatów na burmistrzów i radnych, że z chwilą zgłoszenia kandydatur stają się „żywymi trupami". Od kwietnia partyzanci dotrzymują słowa zabijając jak dotąd 10 burmistrzów i 35 kandydatów na radnych. 200 polityków zostało porwanych, a 1500 zastraszono i zmuszono do rezygnacji z kandydowania. Już dziś wiadomo, że w ponad 100 okręgach wybory nie odbędą się ze względu na brak chętnych. Prawie 10% elektoratu zostało pozbawione głosu.
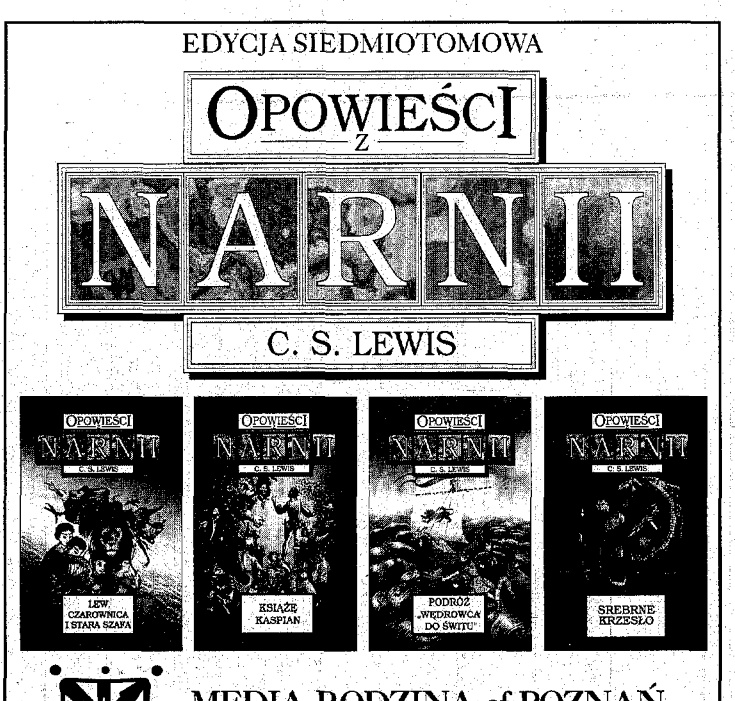
Czy należy zatem się dziwić, że coraz częściej politycy zarówno z rządzącej Partii Liberalnej, jak i opozycji konserwatywnej wzywają Sampera, by – jak to ujął niedawno jeden z deputowanych do Kongresu – *„zlitował się nad Kolumbią"* i ustąpił ze stanowiska? Nie wydaje się to realne i najprawdopodobniej dotrwa on do końca kadencji, czyli do maja przyszłego roku. Prezydent zapowiedział już, że zamierza następnie wyjechać do Hiszpanii, osiedlić się tam i napisać książkę o ojczyźnie. □